RATUNEK

W OSTATNIEY POTRZEBIE.

powieść z niemieckiego.

I.

„Czyliż tey nocney podróży końca dziś nie będzie?" Zawołała smutnym głosem ośmnastoletnia Adelina, do swojego ponurego wuja, który się nazywał mechanikiem Morellim. A w teyże samey chwili, jakby umyślnie, żeby dać uczuć podróżnym niedogodność nocney jazdy, nowe potrącenie silnie podrzuciło karetę, z ciężkością wlekącą się po nierówney i górzystey drodze.

„Nie zniosę dłużey tylu trudów, prawie z płaczem mówiła daley dziewczyna, pośród nocy obudzono mnie gwałtownie, i jak zbrodniarka przez policyą goniona, musiałam opuścić Paryż, w jedney chwili i bez naymnieyszego przygotowania; na koniach, bystrych jak orły przebiegłam całą Francyą, a przebywszy nareszcie jey granice, jestem już z tey strony Renu, na oyczystey ziemi, i jeszcze pokoju znaleźć nie mogę. Aż nadto czuję, jaki to ma wpływ na moje zdrowie. Bo też właśnieby to nie można przez parę godzin odpocząć w jakiey chatce którego z naszych gościnnych rolników."

Szturm wiatru, straszliwie wyjącego po lesie, zwanym Szwarcwaldeńskim, i szum rzęsistego deszczu, potokiem z czarnych chmur lejącego się, głuszył prawie zupełnie mowę dziewczyny; z resztą Morelli mało jey słuchał: bo, jakby na przekor burzy, spuścił szkło od karety i wywiesiwszy

się przez okno, nadstawiał ucha, czy nie posłyszy innego szumu, coby mu był strasznieyszym, niż wycia wiatrów i pluskania kropel dżdżowych, bez przerwy o pudło karety obijających się.

„Nie, nié masz nic strasznego, próżno się lękałem.” Półgłosem wyrzekł ponury starzec, i w teyże samey chwili zaciągnął znowu okno kareciane. Po czém odwrócił się do swojey drzącey siestrzenicy, chcąc odpowiedzieć na jey głos płaczący: bo pierwey poczytał sobie za niepotrzebną pracę, wysłuchać to, co mówiła.

„Czego stękasz ustawicznie—rzekł do Adeliny, z wyraźną zakamieniałością na jey cierpienia—gdybyś ty się troszczyła nad losem naybliższego krewnego, który ci mieysce rodziców zastępuje, wszystkiebyś trudy i niewygody zniosła cierpliwie, zważając, iż przy tak podeszłym wieku, sam je ponosić muszę— Ale tobie brat twojey matki jest obcym. Twoje serce użala się na rozłąkę z tym pustogłowym młodzikiem, z tym twoim Reinholdem, któremu znikłaś w mgnieniu oka, tak: iż nie wié, na jakim świecie ma ciebie szukać”— „Nierozsądny, mruczał sobie pod nos Morelli, gorzko i szydersko uśmiéchając się — on mógłby zbierać kwiatki szczęścia, gdyby miał dosyć odwagi na pozrzeczenie się niepotrzebney uczciwości. Ale pomimo tego, ja mam, co chciałem, a on wyszedł na dudka. Ba! takiż los czeka i wszystkich jemu podobnych.”

„Nie, móy Wuju, nie myśl, żebym, przez wzgląd na Reinholda, teraz uskarżać się miała”— tak jemu odpowié Adelina, nie poymując wcale myśli ostatnich słów jego—„To, na co się uskarżam, jest rzeczywistém, fizycznémi cierpieniem, dla którego

jedynem lekarstwem byłoby trochę spoczynku — A z resztą, jakże niesprawiedliwe żądanie wuja, żebym miała z nim podzielać bojaźń grożącego niebezpieczeństwa, kiedy ja żadnego nie widzę, a nawet domyśléć się nie mogę. Bo i cóż bydź może tak strasznego, coby wymagało ofiary z własnego zdrowia i podobnych niewygód. Żyliśmy spokoynie i samotnie, nikt przez nas skrzywdzonym nie został, żadne polityczne okoliczności nas......"

„Milcz," przerwał stary tak głośno i surowie, że się aż zlękła jego siestrzenica: bo chociaż Morelli ostro obchodził się z dziewczyną, ale nigdy nie zwykł był wpadać w głośną i zapaloną rozmowę; owszem, zwyczajem jego było mówić rozwlekle i przytłumionym głosem, a kiedy co zarzucał Adelinie, to raczey z szyderstwem i goryczą, niż z gniewem. Dla tegoteż przekonała się ona, że zapewne nader ważne myśli i nader ważne przedmioty zaymować go musiały.

„Co ty wiész, mówił daley Morelli nieco spokoyniey, czy ty twojego Wuja masz za lękliwe dziecko, iżbym dla jakieyś fraszki, na pozór naylżeyszego niebezpieczeństwa, miał przedsiębrać nocną ucieczkę, i nawet, przebywszy granicę Francyi i Renu, tułał się po bezdrożach i górach Szwarcwaldeńskich, nie dając sobie naymnieyszego wytchnienia i odpoczynku? Nie, moje dziecie! Morelli lada czego się nie zlęknie. On mà przy sobie skarb, którego wartości żadne bogactwo ziemi nie zastąpi: bo od niego zależy przyszłość ogromney massy ludu, ich życie lub śmierć, ich szczęście lub rozpacz. Ha, ha, ów, nibyto mało znaczący mechanik, jakże pozakręcał nosy tym wszystkim przebiegłym dyplomatom — Ale moje dziecie, toż za

to też same nosy mogą mnie zwietrzyć i dosięgnąć w tych mieyscach, gdzie się jeszcze ich władza rozpościera; a gdyby poczynali, pewnieby mi przybyło ciężaru w głowie na parę łótów ołowiu, albo też kazaliby sobie dziękować, gdyby przez łaskę dali mi dożywotnie mieysce na galerach— A tybyś,moja Adelinko, mogła powiedzieć,że naylepszego wuja—miałaś kiedyś."

Adelina zadrżała—bo i Morelli ostatnią część swojey mowy wyrzekł z szyderską słodyczą, która się dziewczynie obrzydliwszą wydała, niż zwyczayna jego twardość i surowość obeyścia się— Teraz nie odpowiedziała mu ani słowa,jedno tylko głębokie westchnienie wysoko pierś jey wzdęło— „Więc jesteśmy w Szwarcwaldeńskim lesie"— rzekła po chwili do siebie samey,mocniey przytulając swóy jedwabny płaszczyk do drżących od zimna członków—„aż mi lepiey, kiedy się o tém dowiedziałam, wszak to jest oyczyzna Reinholda, tu on przepędził swoje dziecinne lata, i jego noga nie raz może szybko przebiegała przez te mieysca, kędy ja teraz wlokę się powoli—O! ileż to razy on mi opowiadał o tey górze, niebiós sięgającey! jak on mi żywo odmalował owe skaliste płazczyzny, szumiące potoki i te góry spadziste—Oh! chciałabym, żeby jaki szczęśliwy przypadek zawiódł nas do domu jego rodziców—Wszakże żyje jego matka, tak przezeń kochana i czczona, tu też jest i jego brat, co to będąc jeszcze młodym chłopcem, znany był jako dziki i śmiały myśliwiec—Chciałabym serdecznie cieszyć się widokiem tych miłych osób, choćby mi nie wolno było mówić z niemi o tém, co mi nad wszystkich milszém jest na ziemi."

Nowe, silne potrącenie się pojazdu, przerwało marzenia Adeliny. Kareta tak mocno na bok się przechyliła, że wuy i siostrzenica zaledwo na mieyscach utrzymać się mogli. Częstokroć też, pomimo nocnego szturmu, dawał się słyszeć głos woźnicy, rzucającego głośne i złorzezcliwe przeklęstwa; ale teraz, kiedy z wielką pracą udało mu się nareszcie wstrzymać przelękłe konie, i gdy strach obecnego przypadku ochłonął; wówczas woźnica odwrócił się do swoich panów, i wręcz, bez żadnych ogródek, zapowiedział, iż żadnym sposobem daley jechać nie można, ponieważ z prawdziwey drogi, dawno już zboczył, a teraz, wlokąc się po dzikich górach i w tak ciemney nocy, żadnym sposobem na drogę powrócić nie potrafi, gdy tymczasem, co chwila, najechać można na taką przepaść, w którey panom, woźnicy i koniom, będzie nayłatwiey śmierć znaleść; po czém dodał jeszcze, że, przy takiey ciemności i w tak straszliwey burzy, jedna rada pozostaje, tojest: konie wyprządz, i na tém samém mieyscu oczekiwać cierpliwie, póki dzień nie zaświta.

„Nie, mospanie, odezwał się Morelli tak przykrym głosem, że Adelina łatwo poznała, iż mocno gniewać się poczynał—„musisz jechać przez całą noc, podług naszey umowy, i choćby mi się podobało szyję skręcić, lub nogi połamać, ty i mruknąć nie możesz; wiém tylko, że jeżeli szyję skręcę, to chyba z tobą razem—Ruszay daley, i ani słowa— bo ja ciebie nająłem, żebyś mnie wiózł, a nie żebyś rozumował."

Woźnica umilkł na chwilę, zdziwiony surowością pana, i zuchwałą jego mową; lecz po chwili znowu się odezwał: „prawdę mówiąc, nie tak to

ja boję się wędołów i przepaści: bo w potrzebie nawet i pociemku widzę, a moje konie z daleka umieją przeczuć niebezpieczeństwo—ale, móy panie, strasznieysza rzecz nam grozi i daley jechać nie dozwala—Oto, jak się postrzegłem, zbliżyliśmy się teraz do zaklętego jeziora *Mummel*, około którego krążą *Mumelki*, czyli wodne dziewczyny; szczególniey zbiera się ich wiele podczas burzliwych nocy, i biada temu, kto im w ich uciechach przeszkadza. Żaden święty jego nie obroni, Mumelki niezawodnie śmierć mu zadadzą, a chyba tylko dusza z rąk ich wydrzeć się zdoła—Oy! jeszcze raz przestrzegam pana, że lepiey nam spokoynie, na tém samém mieyscu, końca nocy poczekać."

„Przesądny głupcze! zawołał starzec, i chciał znowu powtórzyć surowy rozkaz, żeby natychmiast ruszał daley—gdy w tém ucichła na chwilę burza, i Morelli usłyszał pomieszane ludzkie głosy, a nawet nie zbyt daleko lekki szczęk oręża.

„Chyba tam szatan za mną trop w trop goni" przebęknął starzec zjadliwie i dobył pistoleta—Ruszay łotrze, wołał do woźnicy, popędzay swoje konie, co masz siły, albo ja ci kulę do łba zapędzę.

„Dla Boga, co ciebie, wuju, może znaglać do tak strasznego postępku," zawołała przelękła Adelina, upadając na jego ręce—„Day mi pokóy, odpowiedział Morelli, i silnie odepchnął ją na jey mieysce, „Nie można czasu tracić, chyba prędkie i stanowcze postępowanie ratować nas może."

Pogróżki Morellego wybiły z głowy woźnicy wszystkie jego strachy— Zaciął biczem i już konie żywo pośpieszać zaczęły, gdy w tém pomiędzy gęstwiną lasu, po obustronach drogi będącego,

pokazało się światło i w teyże chwili odgłos „*qui vit*” naszych wędrowników przywitał.

„Zginąłem!” zawołał Morelli, i położył pistolet przed sobą—potém prędko wydobył jakiś pugilares zpod kamizelki, i drżącą ręką wyrzucił go przez okno kareciane pomiędzy krzaki—„Bądź zdrów owocu tylu trudów i starań—mruknął sobie z gorzkim uśmiéchem—chwała Bogu, że twojey treści nikt mi wydrzeć nie może, gdyż moja pamięć zatrzymała cię, jako naydroższą puściznę.”

„Ale, móy wuju—ja nie poymuję”—chciała mówić Adelina.

„Milcz—przerwał starzec—teraz niech sobie przychodzą, ptaszek uleciał, i gniazdeczko próżno zostało.”

Tymczasem ci, co naszych wędrowników strzymali, zbliżyli się do pojazdu. Mieli oni nie wielkie latarnie, bardzo słabo leśne okolice i ich samych widzieć dozwalające. Dopiéro mechanik i jego siestrzenica poznali, iż żołnierze francuzcy wóz ich otoczyli, a tym czasem kilku z nich ujęło konie za cugle. Adelina bezpieczniey i spokoyniey teraz wyglądała, przekonawszy się, że to nie zbóycy na nich napadli, jak to się jey zdawało, kiedy posłyszała pierwsze wykrzyknienie. Również i na twarzy Morellego widoczniey spokoyność malowała się, zdawał się nawet z nieja kiémś upodobaniem poglądać na blisko stojących żołnierzy; lecz tém nie oszukał Adeliny, która znając dosyć swojego wuja, umiała pod tą maską zaufania, rozpoznać burzę duszy i dręczącą go niespokoyność.

Z pomiędzy kupy Francuzów, w zadziwiającém milczeniu zostających, wystąpił po niejakiey chwili wysoki mężczyzna, i przybliżywszy się do

pojazdu, przy świetle trzymaney przezeń latareńki, przenikającym wzrokiem przypatrywał się to Adelinie, to jey wujowi. Z kapelusza, suto złotem ozdobionego, i z powiewającey na nim kity, można było wnosić, że to jest jakiś oficer wysokiey rangi. Twarz jego zdawała się dosyć młoda i rysy jey szlachetne, lubo nie trudno było poznać, że był igrzyskiem żywych namiętności i ciężkich wielekroć doświadczał trudów: bo na jego obliczu wyryły się głębokie i niestarte ich ślady. Adelina nie mogła utaić przed sobą, że ów mężczyzna był bardzo interessującym, a to tém więcey, że niejakieś podobieństwo składu ust zrodziło w niey miłe przypomnienie drogiego Reinholda; z resztą jednak zapadłe jego policzki i jakaś srogość, napiątnowana w rysach twarzy, wcale jey nie podobały się. To uczucie wstrętu coraz bardziey wzrastało, im więcey zwracało uwagę na szpiegujące weyrzenie nieznajomego i na jego oczy, przykrym blaskiem iskrzące się.

Długo on nie przerywał wspólnego milczenia, i poglądając to na Adelinę, to na jey wuja, zdawał się oczekiwać, póki oni nie odezwą się; lecz nareszcie ostrym i ponurym głosem w te słowa do nich przemówił:

„To jest cóś nadzwyczaynego, że ja na tém leśném bezdrożu, pośród gór wysokich i jeszcze w nocney porze, spotykam podróżnych. Od kilku miesięcy trzymam straż na tych górach, a przecież żadney obcey twarzy widzieć mi się nie zdarzyło. Cóż to za przypadek wypędził WPP. w noc burzliwą i dżdżystą?"

Adelina była bardzo zdziwiona, usłyszawszy z ust francuzkiego oficera te słowa, płynnie w ję-

zyku niemieckim wymówione, w których nawet czuć się dawał nieco prowincyonalny dyalekt.

Morelli zaś z uprzeymym uśmiéchem, bez zwłoki, odpowiedział nieznajomemu, że nader ważne zatrudnienia zmuszają go, ile można, przyśpieszyć koniec podróży; że z tego jedynie powodu i nocą jechać musi; a nareszcie, że woźnica zapewne zbłądził z drogi, i zawiózł ich pomiędzy góry.

,,Bardzo byłbym wdzięczen, dodał jeszcze, gdybyś WP. rozkazał któremu z podkomendnych wyprowadzić nas na drogę; ręczam, że przewodnik będzie za swoje trudy dostatecznie nagrodzonym."

Kiedy to starzec mówił, Adelina trzymając dotąd wlepione oczy w nieznajomego, musiała je spuścić bojaźliwie: bo w jego zuchwałém spóyrzeniu wyraźnie odbiła się dzika i namiętna pożądliwość.

Oficer znowu się odwrócił do Morellego i groźnie, marszcząc ciemne brwi swoje, ozwał się surowym i rozkazującym głosem: ,,Gdzie jest twóy paszport, móy Panie? Mam rozkaz rewidować podeyrzanych podróżnych, a WPan sam przyznasz, że jego nocna jazda wcale nie może bydź wolną od podeyrzenia.

Dreszcz mimowolny przebiegł po skórze starca; ale nie tracąc na pozór swojego zaufania, wydobył żądany papier i podał go oficerowi.

,,Mechanik Morelli"—przeczytał nieznajomy, otworzywszy paszport, i w teyże chwili, niby cóś przypominając, położył rękę na swojem czole. ,,Co to jest? jeżeli się nie mylę, zdaje mi się, że w tych dniach odebrałem zalecenie, iżbym osobę takiego,

nazwiska, jeśliby się zdarzyło, schwytał i natychmiast wyższey zwierzchności przedstawił."

„WPan mylisz się zapewne, to chyba błąd jakiś"—żywo odezwał się starzec.

„Bądź spokoynym, z zimną krwią odpowiedział nieznajomy — bydź może, że się mylę: bo też i nie mało mam podobnych rozkazów. Teraz jednak żadną miarą stanowczo powiedzieć nie mogę, co mám zrobić z WaćPanem. Zmuszony przeto jestem pod strażą kazać zaprowadzić jego na bezpieczne mieysce, gdzie i sam pośpieszę, jak tylko uwolnię się od innych ważnieyszych zatrudnień. Jutro, a naydaley pojutrze, cała sprawa będzie skończona."

Morelli zbladł na to oświadczenie i w konwulsyyném poruszeniu mocno ściskał rękę Adeliny—„Przebóg! zawołała ona, cóż teraz z nami będzie!"

„Próżno się lękasz, piękne dziewcze"— tak ją uspakajał oficer, starając się przykremu głosowi swojemu, nadać jak można naywiększą łagodność. „Spodziéwam się, mówił on, że rzecz cała z czasem wyjaśni się, bez żadnych dla WPP. złych skutków, i że z twoich powabnych usteczek usłyszę przebaczenie, żem ich podróż nieco opoźnił."

„Więc WasPan chcesz doprawdy"—ozwał się znowu Morelli— ale oficer już go nie słuchał: owszem zbliżył się do swoich ludzi, i cóś pocichu z nimi rozmawiał. Zapewne, na skutek jego rozkazu, dway żołnierze, uzbrojeni w strzelby i pałasze, siedli do karety naprzeciw Adeliny i jey wuja, trzeci zaś umieścił się obok woźnicy na kozłach. Z zimną grzecznością pożegnał oficer naszych podróżnych, i dopiero drogą wskazaną przez

żołnierza na kozłach siedzącego, wyruszył pojazd do celu, zlęknionemu Morellemu i jego siostrzenicy zupełnie niewiadomego.

Burza powoli ustawać poczęła, po chwili już zupełnie deszczu nie było, i już gdzie niegdzie gwiazdy się przeświecały przez rozdzielone i przerzadzone chmury. Po straszliwém wyciu wiatrów, nie dawno z łoskotem rozlegających się w sosnowym lesie, nastała cisza, przerywana chyba tylko głosem dzwonkow, trzód bydła tu i ówdzie na dolinach paszącego się. To wszystko jednak nie powracało spokoyności przelęknionemu umysłowi Adeliny; a w duszy pana mechanika taka trwała burza, jakiey chyba doświadczyć może ten, co ledwo uciekł zpod gruzu murow, trzęsieniem ziemi w posadzie swojey wzruszonych. W samey też rzeczy trudno mu było uspokoić się, gdy już już miała bydź odkrytą zagadka pełnego tajemnic życia jego, i gdy mu w jedney chwili stanął przed oczyma żywy obraz oczekującey go haniebney śmierci.

II.

Pogodny i piękny ranek nastał po burzliwey nocy. Już słońce przez wierzchołki wysokich sosen zaczęło oświecać promieniami swojemi rozkoszną dolinę, nakoło ogromnemi drzewami otoczoną i zbudowany pośród niey dworek podżyłey wdowy, Marta imie mającey. Właśnie w tey chwili wyszła z mieszkania Elżbiéta, synowica Marty, niosąc do krynicy dwa naczynia ze świeżem mlekiem, żeby je zabezpieczyć od prędkiego skwaśnienia. Lica dziewicy jaśniały rumieńcem, czer-

stwość i zdrowie oznaczającym; ciemne oczy z pod czarnych kędziorów świeciły się jak dwa drogie kamienie, a ubiór wieśniaczy i krótka, gęsto fałdowana spodniczka, nadawały Elżbiecie właściwy urok, tém większy, iż sama, zapewne, o nim nie wiedziała.

„Święty Antoni!" zawołała ona, poglądając na mgłę, coraz niżey opadającą z wierzchołków gór, przed jey oczyma będących—„Oho! z jakiém uszanowaniem góry zdeymują swoję ciemną zasłonę przed wschodzącém słońcem, i jak jego dobroczynne promienie rozpraszają tumany zponad jeziora *Mummel*, pędząc je gdzieś w głębokie pomiędzy lasy przepaście, lub w parowy dzikich skał. Wszystko dowodzi, że nastąpi piękna pogoda po tey okropney nocy, co mnie tyle trosków nabawiła."

Elżbiéta wstawiła swoje naczynie z pieniącém się mlekiem do studéńki, starannie ją przykryła deszczkami, a potém, zbliżywszy się do krynicy, wymyła twarz i ręce świeżą wodą; powracając zaś nazad do domu, z zamyśleniem włepiła oczy w jedno okienko, ledwo postrzegać się dające zpod szerokiego poddasza, w koło cały dom opasującego.

„Erenfryd do tey pory jeszcze nie powraca, zcicha mówiła ona do siebie samey, nie mogę dóyść żadnym sposobem, dla jakichto zatrudnień. Bóg wie, gdzie on całe noce przepędza, i ktoto są ci jego dway towarzysze, co tak często do niego przychodzą, a on naprzód z nimi na kilka godzin zamyka się, a potém nayczęściey razem wychodzi, i wciąż przez wiele dni i nocy nazad nie powraca. On niechce nawet wiedzieć, ile tém smutku naba-

wia i mojey dobrey ciotce i mnie. Niechby dał pokóy takim zatrudnieniom. Chciałabym wiedzieć: czy moja ciotka Marta podziela ze mną moję niewiadomość, względem postępków jey syna. Zapewne musi cóś wiedzieć, albo tylko domyśla się, ale się nie wydaje z tém, co wié, i sama jedna pożera smutek, tak ją dręczący.

Gdy tak rozmyślała sobie, przerwał jey myśli głos kobiécy, z domku wychodzący.

„Elżbiéto! moje dziecie! gdzie ty jesteś? Czy ty słyszysz, jakiś szmer, podobny do tententu koni i huku, toczącego się pojazdu?"

Dziewczyna zbliżyła się do domu ciotki, a usłyszawszy, o co się pyta, nadstawiła ucha i ciekawie zaczęła się przysłuchiwać.

„W samey rzeczy, ciocio, powié ona po chwili; zbliża się tu jakiś pojazd po drodze od spadzistey góry Rozensztein, do nas wiodącey. W naszey dolinie to jest rzecz bardzo rzadka, ale oto już są wcale nie daleko—pominęli skały—Przebóg! to jacyś żołnierze—i pojazd prosto przed nasz dóm zajeżdża—ach ja nieszczęśliwa!" Wymówiwszy ostatnie słowa, przelękniona Elżbiéta, prędko wskoczyła do domu, i pierwszą jey czynnością było zatarasować drzwi drewnianym drągiem, a tym czasem sama pani Marta, kobiéta wysokiey i chudey postaci z wybladłą twarzą, wyszła ze swojey komnaty i rzekła: „Ey Elżbiéto, co ty robisz— To są zapewne jacyś podróżni, co zbłądzili z drogi—a w domu Marty dotąd każdy przychodzień gościnnie bywał przyjętym."

„Ale to są żołnierze, i jeszcze Francuzi"—odpowié drżąca dziewczyna.

„Tém lepiey, rzecze Marta, więc zapewne

bez złego zamiaru do nas przybywają. Ich Cesarz z naszym jest w zgodzie, przeto niczego nie powinniśmy się lękać—Odemkniy więc drzwi i nie broń nikomu weyścia.

Elżbiéta, podług rozkazu ciotki, odtarasowała drzwi, ale sama czém prędzey pośpieszyła pod zasłonę Marty, która nayspokoyniey u drzwi domku stojąc, oczekiwała mającego się rozwinąć wydarzenia.

Kareta z podróżnymi, spuściwszy się z góry, skierowaną została, naprzód na dolinę, a potym prosto przed domek Marty. Mężczyzna, w ubiorze żołnierskim, naprzód z niey wyskoczył i prędko wbiegł do domku. Lecz. gdy wdowa poznała w nim starego znajomego, wzrok jey zasępił się, a wybladłe czoło pokryło mnóztwo surowych marszczek.

„Cóż to za maskarada, Tomaszu? przemówiła ona do zbliżającego się, ty mnie nie oszukasz, od razu pod twoim ubiorem poznałam nayniegodziwszego z towarzyszów, mojego zaślepionego syna, któremu w jego tajemnych i zapewne niegodziwych nocnych wyprawach zwykle pomagasz. Bogdaybyś lepiey do tey pory, jak poczciwy góral, w mogile spoczywał, zamiast tego, co mász włóczyć się tu i ówdzie, łotrować i stawać się niegodnym błogosławieństwa bożego.”

„WasPani masz dziś ochotę do żarcików, odpowié zapytany śmiéjąc się roskosznie. My goniemy podobno za błogosławieństwem, lepszém od tego, jakiego w grobie moglibyśmy doświadczać; a z resztą, czy tajemnym, czy też otwartym sposobem, osiągnę rzecz pożądaną—skutek jeden, że jestem panem tego, co mieć chciałem. Dopiéro od-

rzuciwszy żarty, przystępuję do rzeczy. Mam ważne polecenie od syna WasPani, Erenfryda, którego same nazwisko w naszym niemieckim języku dowodzi, że jest miłośnikiem pokoju."

„Mów, nieprzyjacielem spokoyności"—przerwała Marta z uniesieniem.

„Możebym i ja tak myślał, odpowié Tomasz, Otóż ten Pan Erenfryd, kazał się nayniżey kłaniać Mamuni Dobrodzice, i przy tém, w imieniu jego oświadczyć, że tego starego jegomości, co w karecie siedzi, tudzież jego kuzynkę, dopóty w swoim domu utrzymać powinnaś, póki sam Pan Erenfryd do domu nie powróci. Majątek i życie jego nawet byłoby w naywiększém niebezpieczeństwie, gdyby ci panowie, lub ich woźnica, przedwcześnie ztąd wymknęli się. Co większa, nie powinni oni wiedzieć, gdzie i u kogo teraz się znaydują. Ja i moi towarzysze, będziemy się o to starali, żeby nikt z tych panów nie umknął; a zresztą, iżby spełnić zupełnie życzenie syna WPani, chciey sama tém się zająć: bo ja w jey domu nié mam prawa robić dalszych rozporządzeń."

„Jakto! z gniewem zawołała wdowa, chcesz, żebym miała należeć do jakiegoś niegodziwego przedsięwzięcia. Czego chcecie od tego starego jegomości i od dziewczyny, co jest z nim razem, żeście ich tu gwałtem sprowadzili i gwałtem zatrzymujecie. Musisz mi wszystko powiedzieć, nic nie kryjąc, albo nie, to mój dom dla ciebie i dla tych ichmościów będzie zamknięty."

„Rób waspani co chcesz, odpowiedział Tomasz szydersko, a kiedy z winy waspani jey syn, pan Erenfryd zawiśnie na szubienicy, albo spotka

się z nożem na gillotynie, chciey ten wypadek sobie, a nie mnie, przypisać."

„Co ty mówisz? pytała Marta słabym głosem, i z przestrachu zmuszona oprzeć się o ścianę, boby pewnie upadła—zacóż miałaby go spotkać śmierć tak haniebna."

„O! i spotka go bez wątpienia, jeżeli WPani odmówisz mu usługi w teraźnieyszém wydarzeniu." Odpowiedział góral z naywiększą pewnością." A dla mnie, mówił daley, wszystko jest jedno, siebie i swoję skórę sam zabezpieczyć potrafię, zresztą zaś umywam ręce, jako niewinny."

Elżbieta, wysłuchawszy za drzwiami całey rozmowy, przybliżyła się do Marty i tkliwie do niey rzekła: „Jak można, kochana ciocio, rozmyślać dłużey, co teraz uczynić wypada. Wszak słyszałaś, chodzi tu o życie Erenfryda, zgrzeszyłabyś, gdybyś go nie ratowała; a potém, wszak ci panowie muszą bydź źli ludzie, jeżeli nasz Erenfryd tak się ich boi."

„Tak, tak mościapanno Elżbieto, zaśmiał się znowu Tomasz, WPanna stajesz w obronie Erenfryda. Tego się spodziewałem."

Dziewczyna rumieniła się coraz mocniey ze wstydu i z niespokoyności, aż nareszcie Marta westchnąwszy głęboko, rzekła: „Niechże i tak będzie. Dla słabego serca matki nié masz większego prawa nad miłość ku dzieciom. Wprowadź podróżnych do pokoju Erenfryda, ale bądź pewnym, że nie dozwolę żadnym sposobem, żeby im co złego pod moim dachem stać się miało, owszem przyymę ich gościnnie, tak, jak życzę sobie łaski bozkiey i jego świętych, w godzinę mojey śmierci."

Tomasz żywo podskoczył do karety i odem-

knął drzwiczki. Adelina i jey wuy, dotąd z bojaźni nieporuszenie siedzący w karecie naprzeciw uzbrojonych ludzi, wysiedli z pojazdu, a za nimi stanął Tomasz ze swojemi towarzyszami.

Adelina pilnie przypatrywała się domowi, do którego ją obecny wypadek zaprowadził, i który z rozmaitych względów niemałą nabawiał ją ciekawością. Domek ten był dosyć rozległy, ale nie wysoki, w około pod szerokiém poddaszem zrobiona była galerya, poustawiane na niey rozmaite sprzęty, do gospodarstwa służące, tu i ówdzie zostawiono tylko próżne mieysca dla robót czeladzi. Wszystko tak było czysto i porządnie utrzymane, sam domek i połączone z nim zabudowania tak luby sprawiały widok, że wzrok dziewczyny z przyjemnością na niém zatrzymywał się.

Ale dla jey wuja nie miało to by naymnieyszego powabu. Ponurym i przeszywającym wzrokiem mierzył on od stóp do głowy Tomasza, którzy dotąd równie, jak jego towarzysze nieprzełamane zachowywał milczenie, a teraz w prostey niemieckiego gorala mowie, zapraszał mechanika i jego krewne, żeby weszli do domu i odpoczęli cokolwiek po trudach. Moreli nic nie odpowiedział na te zaprosiny; lecz po chwili obeyrzawszy równie dwóch innych swoich strażników, wyrzekł z szyderstwem do Tomasza:

„Brawo! widzę byliście bohaterami wielkiey armii, która z Rossyi z takim tryumfem wróciła: tamto nabyliście owych guzików, orłami ozdobionych, tam też zapewne od mrozu tak się wam sukno pościągało, że przypatrzywszy się zblizka raczey do farbowanego płótna podobne: również od zimna pokurczyły się i szable, a w prędkiey

ucieczce pogubiwszy bagnety z karabinów, zamiast ich macie teraz myśliwskie strzelby. Brawo! piękni z was rycerze."

Na taką mowę, Tomasz odpowiedział głośnym śmiéchem, a nareszcie z niezachwianą poufałością dodał:

,,Więc WPan nareszcie poznałeś, że nie jesteśmy Francuzi, ani żołnierze. I prawdziwie przy świetle dziennym nikt nas za takich uważać nie będzie. Oh! za dnia lis w wilczurze, nie uydzie za wilka, ale w nocy, móy panie, rzecz ma się inaczey: sam pan doświadczyłeś, że można bydź oszukanym: bo wtedy płocienny muudur krótki nóż myśliwski i strzelba zwyczayna, mogą się wydać bogatemu panu tak długiemi, jak jego życie. Daymy jednak pokoy niepotrzebnym rozmowom: proszę państwa do pokoju: mieysce dla nich przeznaczone jest wcale roskoszne i miłe, a kuzynka pańska może w niém spokoynie odpocząć po trudach przeszłey nocy."

„Ani z mieysca nie ruszę, póki się nie dowiém, kto jesteście i czego chcecie odemnie—odpowiedział mechanik stanowczym głosem —ani słowabym do was nie przemówił, gdybyście mi nie zabrali mojey broni: postąpiłbym z wami, jak z łotrami i rozboynikami, którzy bezprawnie naruszają bezpieczeństwo podróżnych. Dosyćże tego, nie przeszkadzaycie mi w dalszey podróży, albo ja dopadnę do pierwszey jakieykolwiek zwierzchniczey władzy i ściągnę na waszą głowę taką burzę, iż pomimowolnie przed nią zadrzycie."

,,Mospanie, rzekł Tomasz z zimną krwią, wytrząsając popioł z lulki, przy WPana starych i poważnych latach nie godzi się bydź go-

rączką i zapaleńcem; chciey pamiętać, że jesteś w naszey władzy, i że na jedno moje zawołanie zjawi się dwudziestu porządnych chłopaków, mogących w mgnieniu oka zapał pański poskromić. Nie rób przeto więcey ceremonii, a idź za mną. Co do mnie, spełniam dane mi rozkazy; w skutek ich zmuszę WPana pozostać w tem bezpieczném ustroniu, póki ktoś drugi tu nie przybędzie, i dalszych rozporządzeń nie zrobi."

„Któż jest ten drugi, zapytał starzec z zawziętością, widząc, że ni prośby, ni groźby nie skutkują: jakież to jest jego zatrudnienie, co go na chwilę zaprzestać nie może."

„O! to zatrudnienie jest bardzo ważne, a imie mojego rozkazodawcy brzmi nader szanownie." Dziko zaśmiał się Tomasz, a jego towarzysze równymże śmiéchem odpowiedzieli: po czém dodał: „Więcey Panu nic powiedzieć nie mogę, chyba ten, o kogo pytasz, sam, jak powróci, całą rzecz wyjaśni, jeśli jeszcze to jemu podobać się będzie. Tym czasem proszę na przód. Bez żadney zwłoki."

Adelina coraz bardziey lękać się poczynała, słysząc rozmowę wuja z zuchwałym goralem: sądziła bowiem, że wpadli w ręce zbóyców, którzy ich umyślnie do tey kryjówki zawiedli, żeby tym łatwiey zatrzeć ślady dokonaney zbroni. Wtém z jednego okienka domku, wysunęła się wybladła, ale przyjemna, twarz podżyłey kobiéty, i te słowa dały się im słyszeć:

„Bądźcie WPanowie spokoyni, weydźcie śmiało do tego domu. Nie mogę wprawdzie przeszkodzić, żebyście tutay przez czas niejakiś zatrzymanymi nie byli, ale też razem ręczam, że i włos nie spadnie wam z głowy, i że pod moim dachem

naymnieyszey nieprzyjemności nie doznacie. Tak mi Boże dopomoż i wszyscy święci.”

Adelinie zdawało się, że słyszy głos Anioła; żywo obróciła się w tę stronę i postrzegłszy wyraz godności w rysach podżyłey niewiasty, tém bardziey jeszcze się uspokoiła. „Nie, mówiła sama do siebie, ta twarz nie może bydź fałszywą, widać na niey ślady smutku, ale nie zbrodni, polegam zupełnie na jey przyrzeczeniu, i jestem pewna, że jey postępowanie odpowie zupełnie mojemu zaufaniu.

Przeciwnie mechanik, z pewnym rodzajem nieufności spóyrzał na wdowę: chciał nawet do niey cóś przemówić: ale okienko znowu się zamknęło, i ta, co mówiła, znikła. W niepewności przykąsił sobie usta, a potém wziął siostrzenicę za rękę i wszedł z nią do domku.

„Ta baba nigdy nie przestanie świegotać.” burknął pod nosem Tomasz, i dał znak towarzyszom, żeby wzięli pod swoją opiekę woźnicę, pojazd i konie —„Jednak ja w tém, mówił daley, że oni z sobą nie spotkają się i nie wypaplają wzajemnie, czego wiedzieć nie powinni.”

To rzekłszy, szybkim krokiem pospieszył w ślad za Adeliną i jey wujem.

Pokoy, dokąd wprowadzono Morellego z siostrzenicą i gdzie ich goral natychmiast zamknął na zamek, zrobił na umyśle dziewczyny, również przyjemne, ile niespodziewane, wrażenie: po wszystkich stronach na ścianach pozatykane były zieleniejące się gałązki, a na nich zawieszono koszyki z czarną ogrodową ziemią, z którey wyrastały, właśnie będące teraz w samém kwiecie, róże, lilie, narcyssy, goździki, i inne kwiaty, miłym wido-

kiem i wonią obdarzające przychodniów. Co większa, ta roskoszna altanka, ożywiona była przyjemnym śpiewem oswojonych ptasząt. Jedne z nich ukryły się pomiędzy gałązkami przed nowemi przychodniami; drugie zaś, zdaje się chciały, w tey samey chwili zabrać z niemi znajomość. Skowrónek rozpoczął swoją weselną piosnkę: uczony drozd, swoje gwizdanie: czuły słowik, słodkie zażalenia, a kukułka zpomiędzy gałązek cyprysu ozwała się zwyczayném powitaniem.

„Przeklęte piski—zawołał z niecierpliwością Morelli i rzucił się na porządną pościel, jakby umyślnie dla nich przygotowaną. Jeśli wydarzenia przeszłey nocy nie zakręciły jeszcze zupełnie głowy, ten wrzask głuszący zapewne reszty dokona — A ty, Adelino, co myślisz o tém wszystkiém?"

„Oh mnie bardzo wesoło— odpowié siostrzenica, otwierając okienko, żeby się okolicom lepiéy przypatrzyć—Od chwili, kiedy usłyszałam głos tey bladey kobiéty, i kiedy weszłam do tego pokoju, napełnia mię miłe uczucie zupełnego bezpieczeństwa. Widać że tu kochają przyrodzenie, tu niémasz naymnieyszego śladu, żeby mieszkańcy mogli mieć jakie niegodziwe zamiary.

„Nierozsądne paplanie i romantyczne brednie" rzekł Morelli ponuro i oddał się głębokiemu zamyśleniu. Adelina zaś spokoynie i z nié jakimś rodzajem zachwycenia przypatrywała się pięknym okolicom przez drocianą kratę, zrobioną u okien, dla tego, żeby skrzydlatym śpiewakom zabronić powrótu do leśney ich oyczyzny.

Zielone pagórki, lekko spuszczające się aż na dolinę, w wielu mieyscach strumykami przerźniętą,

wydawały się, jakby pokryte pięknym kobiercem. U ich podnoża mnóstwo rosnących krzewiow tworzyło wieloliczne klomby, uwieńczone rozłożystemi gałęziami wysokich sosen lub jodeł. Daley nieco ponad pagórkami wznosiły się strome góry i nagie skały, a cały amfiteatr w dosyć obszerném oddaleniu kończyło pasmo gór, których szary kolor bardziey jeszcze odbijał od świetności złocistych chmurek, nad ich wierzchołkami zawieszonych. Dawał się słyszeć miły szmer pasącey się trzody około strumienia, z gór wytryskującego, i śpiew poranny pasterzy z weselem niewinności witających piękny poranek. Wszystko jednėm słowem dowodziło pokoju duszy mieszkańców i tego szczęścia, jakiego doświadczyć może człowiek poczciwy, będący w zgodzie z sobą samym i z całem przyrodzeniem. Widok ten rozczulił Adelinę i napełniając jey duszę tém niepojętém i nieokreślonėm jakiémś żądaniem, zawiódł ją w krainę nader miłych przypomnień.

„Jak to, z podziwieniem mówiła ona do siebie samey, powiedziałabym, iż, jak przez sen, byłam już w tey okolicy, i wszystko to widziałam, co teraz widzę? czy też bydź może, żeby urojone zeszłych lat fantazye upodobanych widoków przenosiły mię w okolice, teraz rzeczywiście oczom moim przedstawione. Ale nie: —poznaję, co to jest, i źwierciadło duszy objaśniło rzecz całą w prawdziwych jey zarysach. Tak jest: —Reinhold wielekroć opowiadał mi o podobney okolicy i nazywał ją swoją oyczyzną. Tak właśnie wyglądała ona przed oczyma duszy mojey, tak wiedziałam o szmerze strumieni i o pasącey się po łąkach trzodzie bydła. Na takiey murawie przed

domem rodzicielskim, małe jeszcze dziecie, igrał on ze swoim dzikim bratem: tu z lubością przypatrywał się rozkosznym pagórkom, a z pewnym rodzajem uszanowania poglądał on na owe ciemne góry i obnażone skały. O nie inaczey, głos przypomnienia bardziéy jeszcze wciska się do mojego serca, i coraz bardziey w czarowne wprawia mię omamienie. Wszakże pokoy Reinholda i jego brata zawsze był ozdobiony zielonemi gałązkami i pachnącemi kwiatami, zawsze w nim bywały kupy ptasząt, z wesołym śpiewem przelatujących z kwiatkow na kwiatki po tey roskoszney altanie. Czyż nie tu, kiedy dziki brat jego wychodził na polowanie, lub połow ryb w poblizkim jeziorze, Reinhold, oddany swoim smutnym dumaniom, jeden pozostawał, w tém zieloném ustroniu, żeby się smucić, iż nié ma sposobności nauczenia się czegoś więcey nad to, co umiał nauczyciel nie daleko ztąd będącey wioski. Oyciec jego zanadto prędko umarł, zawiedziony w swoich nadziejach, i zmuszony zrzec się ważnych zatrudnień, ale żyjąc na ustroniu przy żonie, nie wykwintnie wychowaney, jednak prawdziwe domowe jego szczęście stanowiącey, umiał on rozniecić w piersiach dziecięcia iskierkę szlachetney dumy i chęć do nauk. Już oddawna oyciec Reinholda spoczywał w grobie, kiedy matka jego, widząc dorosłego młodzieńca z niepohamowaną tęsknotą do wyższych zatrudnień, słodkiemi pocieszeniami pożądaney przyszłości koiła łzy jego, i w samey rzeczy wkrótce potém wysłała go do naybliższego miasta, żeby mógł usposobić się w tém, co za potrzebne dla siebie uzna. Odtąd już go więcey nie widziała, ale z ja-

kąż czułością wspominał on za każdym razem swoję ukochaną matkę: bo, czyż mogła ona nie bydź kochaną. O czemuż ja nié mam matki—mówiła daley rozrzewniona Adelina—dla czegoż móy wuy w postępowaniu ze mną nic takiego nie okazuje, coby tchnęło rodzicielskiém przywiązaniem. Tak jest, czuję, ile byłabym szczęśliwą, przytulając się do macierzyńskiego łona, jakby nikły przede mną wszystkie troski, wszystkie udręczenia. Ha, co za myśl, jak błyskawica przejęła moję duszę. Jeśli matka Reinholda tutay się znayduje—jeżeli owa blada kobiéta....."

Kiedy dziewczyna, prawie do stanu gorączkowego marzeniami doprowadzona, wiedzie sama z sobą taką rozmowę, w tym momencie otworzyły się drzwi, i przed Adeliną stanęła Marta ze swoją poważną i bladą twarzą.

„To ty jesteś, z zapałem zawołała dziewica i rzuciła się do nóg zdziwioney staruszki. Ty jesteś matką Reinholda, bądźże i moją!"

Marta, prawie przelękniona, poglądała na klęczącą dziewicę, nie mogąc ani słowa wymówić: a tym czasem Tomasz, już z żołnierskiego przestrojony w proste wieśniacze odzienie, wszedłszy za Martą, tak rzekł do niey:

„WPani nie uwodź się: to są jakieś podstępy, starzec i dziewczyna naypewniey usiedli się na zgubę syna WPani."

„Ona wpadła w gorączkę" zawołał Morelli, szybko powstając ze swojego łóżka. Przy pomocy Tomasza podniósł on omdlałą dziewczynę i położył na pościeli; potém upraszał staruszkę, żeby cóś orzeźwiającego dla jego synowicy przysłała, a z resztą staranie o niey zostawiła jemu samemu.

Tomasz w tym razie zupełnie potakiwał mechanikowi, i Marta, przez usilne nalegania, zmuszona była wyyść z pokoju, nie bez pewnego jednak podeyrzenia, iż Morelli i Tomasz chcą ją oszukać w niniey szém zdarzeniu. Czyż ta biedna dziewczyna mogła bydź tak wprawną w sztuce udawania, jak tego dowodził powiernik Erenfryda: mogłażby zmyśleć omdlenie i zupełną utratę zmysłow. Z resztą z ust Adeliny wyszło słowo, droższe dla serca matki nad wszystko, co miała na świecie, i to jeszcze wymówiły je usta nieznajomey, z uczuciem, jakiego zmyślić nie podobna.

Wdowa posłała czém prędzey przez Tomasza potrzebne dla synowicy mechanika orzeźwiające lekarstwa, a potém, przywoławszy Elżbiétę, opowiedziała dziwne swoje wydarzenie z nieznajomą dziewczyną, w którey cierpieniach widocznie brała udział.

„Jednak nie trzeba dać się oszukać" z zapałem mówiła Elżbiéta, zawsze troskliwa o los ukochanego Erenfryda: „Jeżeli ów stary jegomość i ta panienka, tyle przez Ciocię usprawiedliwiana, rzeczywiście mają złe zamiary względem Erenfryda, to też musieli zapewne wcześnie powziąć wiadomość o nim i o jego familiynych stosunkach. Oy nie trzeba im wierzyć, i tą razą z duszy cieszę się, że Ciocia poszłaś za radą Tomasza."

Marta z niedowierzaniem potrząsała głową, lubo nie mniey troszczyła się o Erenfryda, którego tajemne i zapewne przeciwne prawom postępowanie, podawało życie jego w wielkie niebezpieczeństwo. Ona westchnęła głęboko i tak rzekła:

„Jeżeli co złego stanie się z Erenfrydem: on

sam będzie przyczyną swojey zguby: ale ta biedna, chora dziewczyna, ona żadnemu stworzeniu nic złego życzyć nie zdoła; za starego nie ręczę, ale jego krewna do niczego złego nie należy."

Marta w przeciągu dnia tego wielekroć starała się zbliżyć do cierpiącey Adeliny, zawsze jednak jey przeszkadzano: raz Tomasz nie wpuścił jey do pokoju, to znowu sam Morelli wymawiał się; że Adelina spi, i że w jey cierpieniach, przez trudy podróży sprawionych, jedyném lekarstwém jest odpoczynek, a tém samém mieszać jey spokoyność, jest to umyślnie powiększać jey cierpienia. Marta musiała się kontentować takiemi wymówkami i prawie nie chcieć widzieć Adeliny, żeby przez to nie stać się przyczyną większey utraty jey zdrowia. Ale coraz głośniey odzywało się w duszy staruszki imie, przez nieznajomą wymówione, tak, że nie mogła uspokoić wewnętrznego poruszenia, jakie się wzniecilo przy pierwszém ich spotkaniu.

III.

Tegoż samego dnia nad wieczor, ruch był nadzwyczayny, około mostu nadreńskiego, znayduiącego się na drodze, wiodącey z Kehl do Sztrazburga. Jeźdźcy wojenni i cywilni przelatywali na koniach tam i nazad. Piesi rozmaitych stanów płci obojey powoli sobie przechadzali się po obu stronach szerokiego mostu, pod którym wspaniała rzeka, gwałtownie uderzając się o jego posadę spienionemi bałwanami, sama daley toczyła się.

Poruszone tłumy ludu po większey części jeden przedmiot ożywiał, to jest, ciekawość. Kiedy się zbliżyli do końca mostu, stanowiącego grani-

cę między Francyą a państwami Niemieckiemi, oczy ich jednostaynie zwrócone były na Kehl: czy też nie uyrzą nareszcie oczekiwanego orszaku żałobnego z ciałem francuzkiego Feldmarszałka, który właśnie poległ w ostatniey potyczce, i którego zwłoki miały bydź przewożone do familiynych grobow we Francyi. Ale słońce coraz bardziey zbliżało się do zachodu, już nawet i zmrok wieczorny począł rozciągać swoję ciemną oponę ponad płynącą rzeką i jey okolicami, a jeszcze nie było nadziei, żeby zebrani doczekać się mogli pożądanego widoku. Dobrzy mieszkańcy Strazburga, jakkolwiek szczery mieli zamiar iść za ciałem poległego feldmarszałką, postrzegłszy jednak, że zaledwie ostatnie promienie słoneczne złocą szczyty wież ich miasta, zmuszeni byli powrócić do domów, żeby im nie przyszło nocować pod gołém niebem, skoro bramy fortecy zostaną zamknięte.

Teraz było nieco spokoyniey na moście, zawsze jednak przemykali się piesi do Kehl i nazad, zwłaszcza, że, korzystając z piękney lekkiey nocy i świeżego jey powietrza, nie tracili nadziei, iż się im uda, choć trochę, towarzyszyć dostoynym zwłokom nieboszczyka, w ostatniey jego wędrówce po ziemi. Straż honorowa, na granicy francuzkiey stojąca, za dozwoleniem komendanta, również znudzonego długiem oczekiwaniem, ustawiła broń w koziołki; żołnierze zaś zebrawszy się około ogromnego bębna, co im podczas wyprawy do Egiptu, dawał hasło potyczki, pletli o piramidach i innych dziwach tego kraju. Tuż przy moście z obustron nad nim paliły się smolane kagańce, których czerwonawe światło,

z miganiem odbijało się w nurtach bystro płynącey rzeki.

„Ręczam was bracia — Słychać było głos wielomównego dobosza, że beczki z napoleondorami, leżą w katakumbach i piramidach jeszcze przez dawnieyszych królow egiptskich zakopane, a kiedy się znaydzie z nich jaki, to pewno je odkopie i sobie zabiérze.”

Tym czasem szczęk broni i nagły okrzyk szyltwachu zapowiedział zbliżenie się ciała feldmarszałka i jego konwoju. Dał się słyszeć głos komenderujących: w mgnieniu oka cała straż stanęła pod bronią: a głośne brzmienie bębnow tak teraz było nieustanne, jak wprzódy języki weteranów, po raz tysiączny powtarzających swoje, prawie nadprzyrodzone, przygody.

Orszak żałobny, tyle już się przybliżył, że go łacno widzieć można było przy świetle gorejących kagańców; dziwno jednak było zebranym widzom, iż nie posuwał się powoli, jakby godności jego przystawało, lecz śpieszył z niezwykłą prędkością. Na czele jego oficer z głęboko na twarz nasuniętym kapeluszem, przybliżywszy się do komendanta straży, ledwie wyrzekł do niego kilka słów, a pokazując dany sobie ordynans mianował się adjutantem Delolay, komenderowanym dla przeprowadzenia ciała zabitego feldmarszałka do jego familiynych grobow i dla oddania mu należney czci woyskowey. Przy takiém zdaniu sprawy, na rozkaz trzymającego straż oficera bębny zamilkły, a żałobny powoz z całym orszakiem co żywiey zbliżał się do mostu bez naymnieyszego zastanowienia, tak właśnie, jak

gdyby nikt naymnieyszey baczności nie dawał na cześć, oddawaną zwłokom nieboszczyka.

„Jak widzę na nic się nie zdało— przebęknął stary dobosz do swoich towarzyszów—żeśmy tutay wystąpili z całą paradą, chcąc uczcić naszego marszałka. Gdyby on czuł, pewnieby mu pękło serce ze smutku, widząc, jak się śpieszą oddać jemu ostatnią posługę i tém się go pozbyć. *Sacre nom* — ja sam go kiedyś znałem: bo o krok od niego dawałem hasło w czasie bitew pod Eylaŭ i Brinn.”

„Prawdę mówisz, kamracie—przerwał sąsiad dobosza—ale patrz, jak jego marszałkowska mość była wielka i otyła — nié masz dziwu, że go nie ominęła pierwsza harmatna kula. Przypatrz się tylko, jaki wóz szeroki, i jak wysoko się wznosi pod swoim czarnym całunem. Jakem żołniérz, przyzna każdy, że sześciu takich, jak ty, na mieyscu tego ciała, mogłoby się wygodnie pomieścić.”

W tey chwili, naczelnik orszaku nazad znowu na spotkanie woza powrócił—Wysokie pióra u jego kapelusza wspaniale wydawały się przy blasku zapalonych pochodni, a na jego twarzy widocznie dawał się postrzegać uśmiéch wzgardliwy, tudzież chęć i tryumf z doprowadzenia do celu niejakiegoś tajemnego przedsięwzięcia. Gdy tym czasem uszykowani żołniérze ze spuszczoną bronią, oddawali cześć woyskową dostoynym zwłokom. Podziwienie widzów coraz bardziey wzrastało, gdy postrzegli, że sam oficer naglił swoich podkomendnych do coraz większego pośpiéchu, tak, iż orszak żałobny, ledwie wstąpił na most, a już nawet kolbami zaczęto popędzać

konie wozowe, do prędszego biegu, idący zaś przy wozie, zaledwie mogli zdążyć iść za niemi.

Skoro cały orszak żałobny przeminął, naczelnik woyskowey straży, u mostu stojącey, chciał się także oddalić, ustępując stanowisko swoje celnikom, zwykle przy moście, jako na głównym punkcie, strzegących przywozu kontrabandy, na mieysce których tylko podczas przeprowadzenia zwłok marszałka, żołnierze byli porozstawiani. Gdy wtém znowu dał się słyszeć szelest zbliżających się jeźdźcow i szczęk broni. Na okrzyk szyltwacha, głośno i żywo odpowiedziano, i w tymże momencie prędkim galopem zbliżył się oficer w bogatym mundurze i wielą orderami okryty, a za nim dwóch żandarmów.

„Co to jest?" Pytał nowo-przybyły groźnym i rozkazującym tonem u komendanta straży: „co to za tłum ludzi skupił się na moście?"

Komendant zbliżył się do jeźdźca i powiedział, że to jest żałobny orszak z ciałem marszałka, zabitego w ostatniey potyczce, którego odwozi do grobow familiynych adjutant Delolay.

„Do sta par czartów, zawołał oficer, dobywając szabli z pochew, jestto bezecne oszukaństwo, ciało marszałka jeszcze za mną z tyłu, ja sam jestem adjutant Delolay."

Tu mocno śpiąwszy konia ostrogami, on i dway żandarmowie, przy nim będący, jak mogli konie wyskoczyć, puścili się za niknącym w ciemności orszakiem.

Celnicy zaś poznali dorazu, że celem przedsięwziętego oszukaństwa było to, żeby im zpod oczu przemycić ogromny ładunek z towarami. „To sztuka kontrabandzistów" zawołali jedno-

głośnie, i wręcz wszyscy razem pośpieszyli przez most za żandarmami.

„*Sacre-nom* — ozwał się weteran egiptski— czy nie mówiłem, że żołnierz uchybić nie może czci należney marszałkowi wielkiey armii, i pokazało się, że to nie byli żołniérze, lecz łotry, i że nie ciało marszałka, ale ładunek z tytuniem przewieziono.”

Wszyscy się śmieli. Komendant kazał stać żołnierzom spokoynie, nie sądząc za rzecz przyzwoitą, mieszać się w sprawę celników, a woląc raczey oczekiwać na tém samém stanowisku, rozwiązania całego wypadku.

Jakkolwiek orszak pośpieszał, jednak nie był w końcu mostu, gdy w uszach jego naczelnika ozwał się tetent koni, pędzących za niemi i wściekły krzyk rozdąsanych celników.

„O do djabła, mówił on przez zęby—tak blisko portu okręt rozbić się musi.”

Tu on sam zaczął płazować konie obnażonym pałaszem, ale nie mógł żadnym sposobem więcey przyśpieszyć ich kroku. I kiedy tuż, tuż za sobą postrzegł oficera z żandarmami i tłum cisnących się za nimi celników, poznał, że, chociaż jak nayroztropniey przyprowadzał do skutku swoje przedsięwzięcie, przecież pożądany skutek spękał się, i że teraz raczey o własném bezpieczeństwie myśleć należało.

„Już po wszystkiém—zawołał on do swoich pomocników—ale te psy tropowe nie będą korzystały z naszey straty, niech raczey ich nosy wietrzą to, co stracili. Oderźniycie precz postronki, i wóz z całym ładunkiem wepchniycie do rzeki. Tam—dodał śmiejąc się złośliwie—będą mo-

gły ryby igrać z ogromném ciałem jego marszałkowskiey mości."

Dobrzy ludzie, którym jeszcze udało się należeć do żałobnego orszaku, byli prawie przestraszeni owym szczególnieyszym rozkazem. Tym czasem w mgnieniu oka wyprzężono konie, kilku ludzi potrafiło umknąć na nich, a pozostali nie zdołali jeszcze wepchnąć wozu do wody, a już pędzący za nimi byli przy nich, i żandarmowie z kupą wrzeszczących celników, goniąc za uciekającymi, robili hałas i wrzawę niesłychaną.

„Nié masz rady, mówił przewodnik orszaku, poprawując się na siodle—wszystko stracone, i możemy się dostać w ręce tych łotrów—trzeba myśleć o ratunku własnym i przyjaciół. Nieszczęśliwa godzina, taki piękny plan został zniweczony." Tu konwojowi żołnierze, żeby nie wpaść w oczy celnikom, co żywo pozrzucali z siebie żołnierskie kapelusze i broń, a w prostém wieśniaczém odzieniu, jakie pod spodem mieli, weisnąwszy się pomiędzy lud orszakowi towarzyszący, dopadli łodek pod mostem jeszcze pierwiey przez nich samych przygotowanych. Toż samo miał zrobić ich naczelnik, gdy oto zaskoczył mu drogę ów oficer w bogatym mundurze z orderami.

„Podły oszuście, wołał on ze wściekłością—czy to ty mianujeż się adjutantem Delolay—precz z konia i drżyy nieszczęśliwy — ja sam jestem Delolay."

Na te wzgardliwe słowa zawrzała krew w naczelniku kontrabandzistów—i już w jego ręku

zabłysnął ostry pałasz dobyty dla obrony i attaku.

„Ty sam jesteś podły, odpowie mu z dziką zajadłością, boś nikczemny służalec nieprawey władzy. Nie dla kilku nędznych talarów narażam ja życie, ale, że chcę walczyć przeciw przemocy i uciskowi, bądź podstępem, bądź otwarcie.”

Adjutant zapienił się ze złości, chciał coś mówić, ale język mu nie usłużył; ledwie przebęknął słowa:

„Obrzydły robaku! ty śmiész jeszcze przeciw mojey zwierzchności powstawać.” To mówiąc, chciał ogromnym zamachem uderzyć w pierś przeciwnika, który zręcznie umknąć potrafił wymierzonego ciosu.

„Dostaniesz czego chcesz” wołał naczelnik kontrabandzistów, niepomny na własne bezpieczeństwo, i jedynie żądzą powetowania obelgi zapalony. Tu pałasze bijących się zkrzyżowały się kilka razy, i nareszcie mocny cios ugodził oficera w sam łeb. Kaszkiet jego, rozcięty na dwie połowy, zleciał na ziemię, i oficer tracąc siły, zaczął się chwiać na koniu i upadł nareszcie.

„Erenfrydzie! bracie—Przebóg, co ty robisz” wołał głos znajomy na dowódzcę kontrabandzistów. A on, blednąc z przestrachu, obeyrzał się na podróżnego, co właśnie w tey chwili przeciskał się w pocztowym pojeździe przez tłum ludzi.

„Nieszczęście moje i ciebie tu sprowadza, gorzko odpowiedział, nie zbliżay się do mnie: bo kto mię teraz zna, ten jest moim zdraycą.”

Ale przytomni celnicy, już usłyszeli wykrzyknienie podróżnego — i poznawszy śmiałego i

przebiegłego kontrabandzistę, sądzili, że go łatwo teraz uymą, zwłaszcza, gdy był od swoich ludzi oddzielony. Dały się słyszeć wystrzały i kule gwiznęły ponad głową ściganego—poznał on, że mu mało czasu zostawało do ratunku, i że haniebna kara, albo może i śmierć go czeka, jeśli dłużey choć chwilkę na mieyscu zostanie. Spiął przeto, co miał siły, konia ostrogami, i tak go przymusił jednym skokiem rzucić się z mostu do rzeki.

„On zginie” wołał podróżny, dostawszy się na mieysce, tylko co przez odważnego kontrabandzistę opuszczone. Celnicy miotali na uciekającego przeklęstwa i złorzeczenia; kilkanaście strzałow puszczono w pogoń za nim, ale szczęśliwie żadna kula go nie trafiła. On zaś, dopłynąwszy tym czasem do łodzi, na którey go czekano, lekko wskoczył do niey, a konia puścił na wolą bałwanów rzecznych. Kontrabandziści okrzykiem radości odpowiedzieli teraz przeklęstwom celników, i szybkim pędem oddalając się od niebezpieczeństwa sąsiedztwa, znikli prędko z oczu, w sprzyjającey nocney ciemności.

Teraz podróżny odetchnął spokoyniey, gdy uyrzał, że dowódzca kontrabandzistów umknął szczęśliwie spod takiey pogoni. Po chwili przystąpił do adjutanta Delolay, leżącego na ziemi bez zmysłow, od zadanego mu ciosu. Twarz jego była mocno skrwawiona; ale poznać można było, że szablaześliznęła się po powierzchni głowy, kości nie przełamawszy, jednak kresa przeciągnęła się niżey, aż na policzek lewey strony. Podróżny chciał go zaraz opatrzyć, a potém zabrać do swojego pojazdu, i zawieźć czém prędzey na

wygodne mieysce, a potém powierzyć go pieczy lekarza; gdy wtém żandarmowie schwytali samego podróżnego i oznaymili, że go aresztują, ponieważ pokazało się, że znał kontrabandzistów i zapewne był z nimi w zmowie. Naprożno on pokazywał swoje papiery i dowodził, że jest sekretarzem poselstwa pewnego kraju, w przyjaźnych stosunkach z Francyą będącego, i że właśnie wysłano go teraz w nader ważney dla obu państw sprawie. Żandarmowie odpowiedzieli, że nie mają prawa wglądać w papiery, i że chyba ich zwierzchność będzie mogła rozważać jego usprawiedliwienie się. Tym sposobem podróżny widział się zmuszonym znowu wsiąść do pojazdu i powrócić nazad do Strazburga. Pozwolono mu jednak zabrać z sobą i Delolaya, który jeszcze dotąd z omdlenia orzezwionym bydź nie mógł.

Kiedy tak podróżny w odwrócie swoim układa nadal plany, jak ma postępować, tym czasem celnicy, dopadłszy wozu z mniemanemi zwłokami marszałka, zamiast ich, znaleźli ogromny ładunek zakazanych towarów, i zaraz zaczęli je przenosić w bezpiecznieysze mieysce. Bogata zdobycz pocieszyła ich w smutku, że naczelnik kontrabandzistów z rąk im umknął, a kiedy zbliżyli się do woyskowey straży, przy moście stojącey, ze śmiéchem wołał na nich stary dobosz:

„ No, dziatki, boday to pierwszy marszałek wpadł w wasze ręce. Trzymaycie go mocno, i nie puszczaycie nawet na słowo honoru: albowiem bohater, co się daje przedawać na łokcie lub funty, umié wiele wojennych podstępow.

IV.

Była sama północ, kiedy się Adelina zgłębokiego snu przebudziła. Z podziwieniem, przy blasku słabo gorejącey nocney lampy, przypatrywała się ona nieznajomemu pokojowi, aż póki nie przypomniała, gdzie się znayduje, i jaki wypadek tu ją sprowadził. Wuy spoczywał nie daleko na krześle, a jego chrapanie dowodziło, iż nie mógł oprzeć się znużeniu, i przez podróż i przez wzruszenia umysłowe sprawionemu. Lecz sen jego nie był spokoyny, i widać, że go dręczyły jakieś nieprzyjemne marzenia: gdyż nawet częstokroć przerywane słowa z ust mu się wymykały. Jego ściągła twarz, napiątnowana wyrazem udręczenia, i jego wybladłe policzki, wcale nieprzyjemne zrobiły wrażenie na duszy Adeliny; pomimowolnie zadrżała na widok tego, którego w rzeczy samey trudno jey było kochać, przy jego zimném i szyderskiém postępowaniu, i którego oddawnaby już obrzydziła, gdyby nie przywiązywała wdzięczność, że ją, jak biedną sierotę, wziął pod swoję opiekę, i tém od ostatniey nędzy ratował. Teraz patrząc na niego z czułością, obudzoną takiem przypomnieniem Adelina, rzekła do siebie:

„Móy Boże! jak wielką władzę mogą mieć marzenia, iż nawet to stare i zakamieniałe serce zdołały rozczulić, kiedy na jawie żaden, jakkolwiek groźny wypadek nie potrafi zmienić jednostayności jego twarzy. To jest móy wuy, jedyny krewny, którego na ziemi, śmierć dla mnie zostawiła, a i on zdaje się, że chce za obcą mnie uważać. Jak niewolnica, przykrępowana jestem do jego

życia, odludnego i pełnego niedocieczonych tajemnic, a jego wola jest dla mnie prawém wtenczas, kiedy serce całą mocą przeciw rozkazom jego powstaje.

Ciężkie westchnienie wydarło się z łona Adeliny, i oczy jey zalały się łzami. Po niejakim czasie, przepędzonym w głębokiem zamyśleniu, dał się słyszeć szmer pod oknem tegoż pokoju, gdzie była ze swoim wujem. Ktoś cichym przytłumionym głosem wołał powielekroć: „Tomaszu! — Tomaszu!" — i nie doczekawszy się odpowiedzi dodał: czy ty słuch straciłeś — o spiochu przeklęty, będziesz się wylegał, póki paniczowie w błękitnych mundurach nie przyydą po ciebie, i nie wyprowadzą na przechadzkę do domu poprawy."

Adelina słuchała daley z natężoną uwagą— bojaźń jey jeszcze bardziey powiększyła się, kiedy usłyszała około drzwi szmer, jak gdyby ktoś powstawał z ziemi i zbliżał się do ściany, ku dziedzińcowi przytykającey. Jak błyskawica przebiegła ją myśl, że są nader w niebezpieczném położeniu.

„Bydź może w samey rzeczy—mówiła ona do siebie, że znaydujemy się pomiędzy zbóycami, którzy dla ukrycia swojey zbrodni. tu nas zabić postanowili."

Przestraszona nie wiedziała: jak ma sobie poradzić, i czy trzebaby obudzić wuja — ale na cóżby to się przydało—Jakąż mogłby dadź pomoc starzec słaby i bez broni przeciw kupie napastników. Adelina probowała powstać z łóżka, i nadspodziewanie postrzegła, że sen powrócił jey wszystkie siły. Zcicha podbiegła do okna i ot-

worzyła je z naywiększą ostróżnością. Wtenczas posłyszała, iż ów mężczyzna, co ją i wuja przywiózł do tego domu, przytłumionym głosem z poblizkiego okna, mówił do kogoś:

„Djabla pieczenio! czego hałasujesz, chcesz mi spłoszyć źwierzynę, którą tu strzedz muszę za tego głupca Frydka. Mów cicho! czego chcesz? A co czy udało się nasze przedsięwzięcie, czy jeszcze ognie na górach nie zwiastowały pożądaney nowiny?”

„Gdzie tam, odpowiedział głos pod oknem, wszystko w łeb wziąć musiało, żadnego ognia na górach nie widać. Byłem tylko co na skale, ledwie mi oczy nie wylazły przypatrując się, czy nie wyśledzę gdziekolwiek oczekiwanego znaku, albo rakiety, co to miała bydź puszczoną, jeśliby zamysł Frydka szczęśliwie był dokonany. Zapewne wszystko odkryto i zniweczono—Jak widać zjedli mydło nasi—i ty strzeż się: bo błękitne mundury jeszcze dziś bez wątpienia przyydą rozpruć twoje gniazdeczko. Co do mnie, ja nie bawiąc drapnę wnogi, i gdziekolwiek na pięćdziesiąt sążni zalazę pod skałę. Tam mnie żaden żywy duch nie zobaczy—radzę i tobie zrobić toż samo.”

„O, nie oszukasz mnie, móy bracie—odpowiedziano znowu. Ty musiałeś nadto głęboko w dno butelki zazierać, i dla tego nie widziałeś, co się działo. Zawiele wymagasz, żebym na jedno twoje słowo miał zawierzyć, iż niby spękał się projekt naszego Frydka. Oho, nie tak łatwo zrzekę się części zdobyczy, na mnie przypadającey, i choćbyś mnie nazwał niewiernym Tomaszem, zostanę tutay, póki mosiężnych kołpakow nie uy-

rzę na własne oczy, a wtenczas tak mi łatwo będzie ukryć się w leśney gęstwinie, jak tobie pod skałą."

„Rób, co chcesz — dał się słyszeć głos zpod spodu, a ja tak postąpię, jak mówiłem, polecając ciebie opiece bozkiey."

Na tém się skończyła cała rozmowa. Adelina zauważała, że ów, co był pod oknem, oddalił się, a ów drugi zamknął okno, przez które rozmawiał. Przekonała się, że nie powinna tak bardzo lękać się o siebie i o wuja — Ciekawa tylko była: jakito wypadek na jaw wydać się musi, co to nie udał się owemu głupiemu Frydkowi. Chłód nocny przejął Adelinę, i przymusił ją powrócić do łóżka, odszedłszy od okna posłyszała, że i Tomasz na swoje mieysce wracał, i że znowu położył się na ziemi, tuż za drzwiami pokoju.

Adelina czułą była na szmer naymnieyszy: gdyż każdy z nich nową ją nabawiał niespokoynością, a w tém w sieniach domku ozwał się naywyraźniey i to po kilkakrotnie, głos, *kuku*, wołający, a potém dała się słyszeć cicha harmonia melodyynego fletu.

Z początku głos kukułki podniosł niespokoyność Adeliny do naywyższego stopnia: zdawało się jey, że ów głos jakieś wielkie nieszczęście zapowiada. Na tę myśl posłoniła się i byłaby może upadła, gdyby się nie chwyciła ręką za jednę z gałązek zielonych, dla ozdoby pokoju pozatykanych, czém pobudziła ze snu uśpione ptaszęta, które z przestrachu zaczęły latać po wszystkich kątach i napełniły je piskiem i zamieszaniem.

Morelli, obudzony nową wrzawą, sam nie wiedział, co się z nim dzieje, i biorąc Adelinę za kogoś innego wołał zapamiętale: „Więc już przyszliście po mnie, chcecie koniecznie krwi moiey. Niegodziwi! powiedzcie mi wprzódy winę moję, ale jak tego dokażecie, kiedy móy pugillares leży gdzieś w górach szwarcwaldeńskich, zkąd go dobydź niepodobna bez pomocy czarta.”

Adelina z zadumieniem, lecz bez przestrachu słuchała swojego wuja, brzmienie fletu powróciło jey bowiem zupełną spokoyność, i słodkiém uczuciem sérce jey napełniło. Taż sama muzyka pohamowała i uniesienie się starca, po chwili odzyskał przytomność, i przybierając znowu swoją ponurą minę, ze zwyczayną oziębłością rzekł surowie do siostrzenicy:

„Aha już wyzdrowiałaś zupełnie, i zaraz przyszła ci na myśl wyborna igraszka postraszyć uśpione ptastwo i tym sposobem nie dać staremu wujowi chwilki odpoczynku.”

Dziewczyna, nie usprawiedliwiając się z takiego zarzutu, opowiedziała jemu całe zdarzenie i to wszystko, co podsłuchała. Morelli, chodząc wielkiemi krokami po pokoju, słuchał powieści z naywiększą, jak się zdawało, obojętnością, a kiedy skończyła mówić, rzucił się znowu na krzesło i rzekł:

„I cóż ztąd—cóż tu jest tak ważnego? pokazuje się tylko, że owi ludzie są zajęci jakiemś podeyrzaném rzemiosłem, ale to się wcale nas nie tycze. Jeśliby mieli zbójeckie zamiary, toby nas tu nie sprowadzili, gdzie tyle oczu byłyby niepotrzebnemi świadkami. Wszakże w górach i po nocy łatwiey im było spełnić swóy zamiar.

Nierozsądnie przeto lękasz się, żeby nas nie zabili — inny cel jest przyczyną naszego uwięzienia, i ztąd żaden gorszy skutek nie wyniknie nad to, żeśmy niepotrzebnie w naszey podróży wstrzymani — ta zaś szlachetna kukułka, co ci jakieś nieszczęście zapowiadała, chciey wiedzieć, jest to zegar kurantowy. Powinnabyś pamiętać, że jesteś pomiędzy górami Szwarcwaldu, gdzie prawie każdy wieśniak ma sobie takie dudy — ale dosyć już o tém, idź połóż się spać znowu, żeby ci sił nie zabrakło podczas dalszey drogi, bo ręczam, że my tu długo popasywać nie będziemy."

Morelli znowu zasnął, lubo snem również jak i pierwiey niespokoynym. Adelina zaś już więcey oka zmrużyć nie mogła — aż do samego poranka liczyła ona bijące godziny, i za każdym razem słyszała powtarzany głos kukułki i granie fletu. Nareszcie dzień zajaśniał, promienie słoneczne oświeciły pokoy nieśpiącey dziewczyny. Znowu pomiędzy kwiatami i gałązkami, poczęły ruszać się ptaszęta, skowronek i piegża znowu rozpoczęły poranne pienia — a przed domkiem, czysty głos kobieci zanucił piosenkę tyrolską. Jey nóta obudziła w duszy Adeliny czułe wspomnienie i napełniła ją marzeniami lubych widokow: „Tę piosnkę Reinhold często śpiewał, Reinhold, dla którego nayszacownieyszym skarbem życia, była miłość, i którego, bydź może wbrew woli wuja, jaką pierwszą istotę z całey płci męzkiey, kochać i szanować nauczyłam się."

Adelina podeszła pod okno, i uyrzała hożą dziewczynę czerpającą wodę z krynicy — była to Elżbieta — piękny poranek napełniał ją niewinną

wesołością, a jey czysty i miły głosek rozlegał się harmoniynie w świeżem powietrzu. Adelina otworzyła okno i zaczęła się uśmiechać do dziewczyny, lecz ona, postrzegłszy nieznajomą, zaprzestała swoją piosnkę, i spóyrzawszy na Adelinę z niedowierzaniem i niejakąś niechęcią, szybko wbiegła nazad do domu.

Siostrzenica mechanika westchnęła głęboko i rzekła do siebie: „Skądże to pochodzi, iż wzniecam podeyrzenie i staję się dla innych przedmiotem strachu i nieukontentowania.”

Tu wpadła ona znowu w głębokie zamyślenie, i poglądając na mgłę z wierzchołków gór opadającą, przez co wyjaśniał się coraz widok pięknej ich zieloności i rozłożystych drzew, wysoko gałęziami swojemi w niebieskie półkule wzniesionych—samaby zapewne nie umiała określić uczucia doświadczanego, ani też oznaczyć przedmiotu, co jey myśli zaymował. Gdy w tém owa podżyła wdowa, wyszedłszy na dziedziniec, po niejakiey chwili, odwróciła się do Adeliny i poważnym, ale miłym, głosem rzekła do niey:

„Czy nie lepiey byłoby użyć porannego powietrza, niżeli zostawać w zamkniętym pokoju; ranek tak piękny z łaski Bozkiey, że nader jest miło korzystać z jego świeżości. Jeśli się podoba, przeydziemy się razem; chwilka czasu na naszych górach przepędzonego, niezawodnie może orzeźwić ciało i duszę.”

Dziewczyna nie wiedziała, co ma sobie doradzić i jaką dać odpowiedź —po chwili rzekła z nieśmiałością:

„Lubobym chciała, nie mogę wyyść z pokoju. Móy wuy śpi, a jak się obudzi, możeby się gniewał, że wyszłam.”

„To co innego—odpowié wdowa—nie myślę WasPanny odwodzić od jey powinności. Sądziłam, że się może boisz stróża przy jey drzwiach wartującego: bo jeśliby ta tylko była zawada, jedno moje słowo mogłoby złagodzić całą jego surowość.”

Po tey odpowiedzi Marta poszła sobie w zamierzoną drogę, a Adelina ledwie odmówiła takiemu wezwaniu, już tego żałować poczęła. Z całą siłą ponowiła się w niey myśl, że owa miła, lecz zasmucona kobieta, była matką Reinholda, do którey ją los przybliżył, żeby mogła na jey łonie wynurzyć wszystko to, co wewnątrz duszy miała boleśnego, i tém samém ulżyć cierpieniem, znalazłszy drugą istotę, umiejącą całą ich moc pojąć i podzielić. „Któż to wié—myślała sobie—matka Reinholda, przez swoje doświadczenie może żeby mogła nie tylko podać rady, ale i pomódz w szczęśliwém doprowadzeniu do skutku mojey i Reinholda miłości. Jakąż nieocenioną chwilę straciłam samochcąc, dla czegoż z tak przyjaźnego wydarzenia korzystać nie potrafiłam.”

Smutne przeczucie napełniało jey duszę, że ta strata jest niepowetowaną, i wiele nowych nieprzyjemności ją nabawi—Adelina powróciła teraz do łóżka, i ukrywszy głowę w poduszkę rzewnie płakać poczęła

Kiedy się Morelli obudził i postrzegł swoją siostrzenicę w tak smutném położeniu, nie użalił się bynaymniey nad nią: „Romansowe głupstwo, kobiecie kaprysy” wołał obojętnie. Jednak i on sam nie był spokoynym, chociaż z pozoru sądząc, mógłby kto powiedzieć, że obecne wypadki bynaymniey go nie obchodziły. Owszem bojaźń

śmierci, jak piekielna furya, bezustannie go prześladowała, i w samey rzeczy miał przyczynę jey się lękać poświęciwszy życie całe na usługi więcey niebezpieczne, niż mogące bydź wynagrodzonemi.

Po niejakim czasie, do pokoju uwięzionych przyszedł Tomasz, niosąc dla nich śniadanie. Następnie zbliżył się do okna i ciekawie wpatrując się w góry, zbladły i przestraszony tak zawołał:

„Do sto par milionów czartów, to nie było kłamstwo, jak widać odkryto, a nasze i trudy i pieniądze stracone.”

Adelina z bojaźnią obeyrzała się na to wykrzyknienie i Morelli, nie bez zadziwienia, zbliżył się do okna, gwałtownie przez Tomasza otwieranego.

„Frydku! tak to do nas powracasz” wołał Tomasz do mężczyzny w nikczemne odzienie przybranego i z wielkim pośpiechem i niespokoynością dążącego do domu Marty. Mechanik poznał do razu, że to był ten sam, co ich przeszłey nocy zatrzymał i odesłał do mieysca, gdzie się teraz znaydują. Wtenczas wprawdzie był on przystro ony w bogaty mundur oficerski, ale starcowi dobrze się w pamięć wpoiły rysy tego mniemanego oficera.

„Więc wszystko straciliśmy— pytał Tomasz— nicże nie potrafiono uratować, gdzież nasze skarby, nasze zyski?”

„Pocieszny rubacho! odpowiedział powracający mężczyzna z wymuszonym uśmiechem. I owszem uratowaliśmy bardzo wiele, ocalając własne nasze osoby. Juściż to nie była fraszka, kiedy przez kilka minut więcey przy moście nadreńskim prochu wystrzelano, niż dawniey przez

rok cały, a z panem adjutantem Delolay mnie samemu potykać się przyszło; dałemże mu za to takie cięgi, że nie wiem kiedy on pomyśli, jak powstać z ziemi." — „No mospanie — mówił on daley do woźnicy Morellego, który tuż przy nim stał na dziedzińcu — zakładay konie co żywiey, pojedziemy w dalszą drogę." Nareszcie odwrócił się i do mechanika mówiąc: „Szanowny staruszku! przygotuy się także do podróży — wszakciż tyle co i ja powinieneś lękać się błękitnych mundurów, a naydaley za pół godziny mógłbyś tu je zobaczyć — musisz jednak i dla mnie odżałować kawałka mieysca w twojey karecie: bo prawdę mówiąc umyślnie na taki wypadek, co się mnie teraz przytrafił, zatrzymałem was przeszłey nocy i tu rozkazałem zaprowadzić."

„Dla Boga, Erenfrydzie, co się z tobą dzieje, gdzie ty się wybierasz" — mówiła nasza podżyła wdowa, właśnie w tę porę powracająca z przechadzki.

„Ey to nic, moja matko — gorzko odpowiedział nowy przybylec, tuteysze powietrze dla mnie trochę niezdrowe, muszę wynieść się za granicę; gdzie będę mógł wolniey oddychać i żyć wolniey."

Elżbieta na głos kochanka wybiegła z domu, a usłyszawszy o jego przedsięwzięciu, wołała z płaczem:

„Ty znowu chcesz się od nas oddalić — Nie, ja tego nie zniosę."

„Zniesiesz, moja perełko, zniesiesz — z dzikim uśmiechém odpowiadał Erenfryd: bo czyż mało co na świecie człowiek znosić musi. Zresztą cóż tu tak wielkiego, ja w pierwszém miasteczku

mogę znaleźć dla siebie nową kochankę, a i ty trafisz na nowego oblubieńca, i na jego łonie zapomnisz łacno o twoim nieposkromionym Frydku."

Co rzekłszy, pośpieszył wewnątrz budynku, a za nim poszła strapiona matka i płacząca Elżbieta.

Morelli, uśmiechając się radośnie, odstąpił od okna, gdy tym czasem Tomasz wychodził z pokoju, miotając przeklęstwa na Frydka i swoje przeznaczenie.

„Czy słyszałaś, mówił mechanik do Adeliny, natychmiast jedziemy daley. Żeby czasu nie marnować, uporządkuy twoje manatki i bądź gotowa do podróży."

„Jak to, móy wuju—pytała zmięszana dziewczyna, poglądając na starca—chcesz jechać z jakimś podeyrzanym mężczyzną, chcesz życie twoje powierzyć temu dzikiemu człowiekowi?"

„On nam nie zaszkodzi, odpowiedział Morelli, ze znaczącym uśmiechem. Znam go już, i wiém, że nie należy lękać się jego."

Adelina żywo podskoczywszy z podziwienia rzekła: „Jak to wujaszek zna jego, któż on jest? czém się on trudni?"

„Niczém tak ważném, jakbyś sądziła, odpowie mechanik, krótko mówiąc, jest to człowiek kupczący zakazanemi towarami, czyli, jak się pospolicie zowie, kontrabandzista. Mając pewne uwagi na względzie, dodam ci jeszcze, żeś mu winna nieco szacunku."

Adelina osłupiała na ostatnie słowa wuja.

„Móy Boże, myślała ona sobie, więc znowu coraz więcey oddalać się przychodzi od mojego

Reinholda, jeszcze raz zmuszona jestem przebiegać nieznajome kraje, ponosić coraz nowe przygody, i za każdym razem ulegać surowym rozkazom człowieka, pod którego władzę poddał mnie los móy nieszczęśliwy."

Pojazd podróżnych zajechał przed domek. Morelli, wychodząc z siostrzenicą, spotkał się z Erenfrydem, czekającym na nich przy ganku. Już z wieśniaczego prostego odzienia przestroił się on w porządny ubior podróżny, i teraz przywitał Adelinę z wielką grzecznością, a mechanikowi skłonił się zlekka, niby od niechcenia. Elżbieta mocno zapłakana stała na boku, a podżyłey wdowy nie było widać. Morelli z siostrzenicą milcząc wsiedli do pojazdu, i Erenfryd, oddawszy swóy tłomoczek woźnicy, chciał umieścić się w karecie, gdy Tomasz z zuchwałą miną wyrazem chciwości napiętnowaną, zastąpił mu drogę i rzekł:

„Jeżelibym i uwierzył, że z dawnieyszego przedsięwzięcia żadney nie odnieśliśmy korzyści, mamże i za to nie być nadgrodzonym, że siedząc w tey kryjówce, pilnowałem twoich ptaszkow. Nie, Frydku, z tego nic nie będzie, musisz mi się opłacić, jeśli chcesz jechać spokoynie."

„Właśnie na to potrzeba mi twego zezwolenia, z uśmiechem wzgardy odpowiedział Erenfryd, miałbym szczerą ochotę, inną ci dać nadgrodę za twoją zuchwałość, ale ty jesteś biedny djabeł, a mnie na jałmużney nie zbywa."

Tu z pogardą rzucił on Tomaszowi kilka sztuk srébra.

„Naypokorniey dziękuję"—mówił Tomasz z chciwością pochwyciwszy pieniądze, a potém z wyrazem równeyże pogardy dodał: „pieniądz za-

wsze jest pieniądzem, dla mnie zaś wszystko jedno, czy ty go nazywasz jałmużną, czy honorową nagrodą—ale strzeż się, już pomiędzy krzakami któś się rusza, co ci na kark wsiąśdź może, nim ztąd odjedziesz.''

Skoro tylko wyrzekł te słowa, Tomasz prawie pędem błyskawicy pośpieszył skryć się w blizkim lesie. Erenfryd zaś nim wsiadł do pojazdu od rzutu oka poznał, że przyjezdny, którym mu grożono, nie był żandarmem, ani też żadnym urzędnikiem policyi.

,,Nie troszcz się, rzekł on do niespokoynego mechanika, Tomasz jest zając, jemu i mucha czasem słoniem się wydaje. Tego jeźdźca znam dobrze i wiém, że to jest nasz przyjaciel. ''

Jednak Morelli nie śmiał głowy z pojazdu wysunąć — obecne wypadki mało zaymowały Adelinę, siedziała przeto w głębokiém zadumaniu. Jezdziec zaledwo dopadł dziedzińca, czémprędzey zeskoczył z konia, tak podróżą spędzonego, iż teraz stanąwszy u kresu biedne źwierze rozciągnęło się na ziemi, jak nieżywe.

,,Bracie Erenfrydzie! ratuy się, wołał nowoprzybyły, ile tchu mu stawało, żandarmowie tuż tuż są za mną—ani chwilki nie masz do stracenia, ja zostanę tutay, żeby ochronić naszą nieszczęśliwą matkę. ''

Na ten głos ocknęła się Adelina ze swojego zamyślenia—kto wyrzekł te słowa, był ten sam, którego obraz do zgonu w jey sercu wyryty, i który całą jey duszę ożywiał.

,,Reinhold! móy Reinhold!'' wołała ona chcąc wyskoczyć z pojazdu.

,,Ani mi się rusz z mieysca'', szepnął jey Mo-

relli do ucha, gwałtownie ją przytrzymując. Erenfryd co żywo wskoczył do pojazdu, i na jego rozkaz woznica szybkim pędem oddalił się od domku Marty.

Naprożno jęczała Adelina, naprożno błagała niewzruszonego wuja, żeby się choć trochę zatrzymał. Morelli rozkazywał jey siedzieć spokoynie, gdy tym czasem Erenfryd, wychyliwszy się z pojazdu, żegnał brata na migach, i dla tego nie mógł zauważać, co się działo wewnątrz karety.

„Co to było?—rozmyślał nowo-przybyły, wlepiając wzrok w karetę, skrywającą się za lasem przed jego oczyma—Adelina wołała mię po imieniu, takto jey głos obił się o moje uszy, ale zkądże, jakim sposobem, mogłaby ona znaydować się w tym pojeździe.”

Zapłakana Marta wyszła ze swojego mieszkania, a postrzegłszy przybyłego, z nayczulszém uniesieniem wołała wyciągając ręce.

„Boże błogosław cię, móy Reinholdzie, póydź na łono matki, która tracąc obłąkanego syna, znayduje w drugim jedyną swoję pociechę. Samo niebo sprowadza ciebie w tę godzinę.”

Ale syn nie tak czule, jak się matka spodziewała, odpowiadał jey przywitaniu. Bezprzestannie zadawał jey pytania: jakim sposobem, zkąd i kto był towarzyszem podróży Erenfryda, i dopiéro z powieści matki dostatecznie został przekonanym, że się nie mylił, i że to był rzeczywiście Morelli z siostrzenicą swoją, których Erenfryd w podróży zatrzymał. Wzrokiem żądzą pałającym, Reinhold ścigał pojazd, kochankę jego uwożący, ale już nie było go widać. Chciałby pędem piorunu dognać i bydź przy ulubioney, ale

jeszcze święta powinność na mieyscu go zatrzymała.

Kiedy on, z powodu zaszłego wypadku na moście nadreńskim zaprowadzony był do prefekta miasta Sztrazburga, udało się jemu otrzymać wolność, jak tylko okazał papiery i dowiódł, że jest dyplomatycznym agentem; poznał jednak, że straszna burza zagraża jego familii, i że celnicy brata jego Erenfryda oskarżyli o to, że był naydoświadczeńszym i nayśmielszym z kontrabandzistów, i że bez naymnieyszey wątpliwości do ostatniego wypadku należał. I w rzeczy samey zuchwałość z narażeniem się na naywiększe niebezpieczeństwo, ostatniém przedsięwzięciem udowodniona, zmusiła mieyscową zwierzchność do czynnego działania. Postanowiono schwytać Erenfryda, a dom jego nayściśley przeyrzeć: czy się nie znaydą zakazane towary. Podług takiego postanowienia, żandarmowie i mieyscowa policya odebrali stosowne zalecenia, i wespół z celnikami mieli bydź wyprawieni do domu Marty. Reinhold, przewidując, na co się zanosiło, iż nie tylko brat jego Erenfryd, ale i majątek jego matki, ba! bydź może i ona sama przy jey podeszłym i chorowitym wieku ulegnie odpowiedzialności, potrafił uzyskać nowe zalecenie, iżby samego tylko kontrabandzistę złowiono, a dalszych badań i śledztwa zaniechano; i dopiéro umyślnie dążył do domu matki dla przyśpieszenia ucieczki podeyrzanego brata, mając następnie zamiar, szukać śladu, gdzie się podziała jego ukochana Adelina, która wraz ze swoim wujem nagle wyjechała z Paryża. Reinhold domyślał się wprawdzie powodu tajemnicy ucieczki Morellego, gdyż

on sam namawiał go kiedyś do pewnego przeniewierzenia się w obowiązkach dyplomatyczney Reinholda służby, i za nagrodę wymaganego postępku wskazywał mu połączenie się małżeńskim związkiem z Adeliną. Z takiego przeto żądania, można się było przekonać czém był Morelli, i poco siedział w Paryżu. Lecz gdy Reinhold z oburzeniem odrzucił przeciwne obowiązkom jego wezwanie, mechanik nie tylko zabronił mu wstępu do swojego domu, ale nawet zmuszał Adelinę, ażeby wszelkich z nim stosunków odtąd zaniechała. Któż jednak zdoła zapobiédz i zniweczyć podstępy miłośne kochającey się pary? Adelina i Reinhold widywali siebie prawie codziennie, i lepiey się jeszcze poznawszy, zaprzysięgli wzajemną miłość i wierność dozgonną. W takiem położeniu rzeczy ukochana dziewczyna została uwiezioną przed Reinholdem, czém głęboko dotknięty kochanek postanowił, iż żadna moc ludzka, nadal go w Paryżu zatrzymać nie powinna. Podług wszelkiego podobieństwa do prawdy, wnosząc, że Morelli musiał się udać do Niemiec, Reinhold otrzymał od swojego posła kilko-miesięczny urlop i wślad za mechanikiem pośpieszał bez żadney przeszkody, zwłaszcza, iż mu się udało otrzymać kuryerski pasport. Zresztą wiemy z niniejszey powieści, jakie szczególnieysze wydarzenie na moście nadreńskim przerwało przez czas niejakiś jego pogoń, gdzie on znalazł swoją kochankę i jakim sposobem stracił ją znowu?

Jeszcze przez chwil kilka, Reinhold w niepewności zostawał, jak ma postąpić, i zadumany zdawał się niepostrzegać blisko stojącey matki,

która z rozczuleniem przyciskała do serca jego rękę, a wtém postrzegłszy na trawie zdychającego konia swojego, rzekł do siebie:

„Ha, już nic teraz nie doradzę, choćbym i porzucił moją matkę, a tylko zostawił papiery, któreby ją i jey majątek od wszelkiey napaści mogły ochronić."

Teraz czuley odpowiedział uściśnieniom i radości Marty, wszedł z nią do domu, gdzie jey przywiązaniem i drogim wspomnieniem lat młodocianych tu właśnie przepędzonych, pocieszał obecne cierpienia.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

P O E Z Y A.

D u m k a.

Złote rannych lat wspomnienie!
Żyy na wieki w mojém sercu;
Świéć tak mile, jak promienie
Na niebieskich gwiazd kobiercu.

Odbijay mi, śnie szczęśliwy!
Dni weselem ustrajane,
Jak odbija strumień żywy
Kwieciem wzgórki malowane.

Gdy na świt me oko błyśnie,
Wtenczas smutku łzę uroni:
Bo ją obraz snu wyciśnie:
Flet móy o niey pieśń zadzwoni.

Czegoż żal, jak wiatry lotne
Na me młode zlata lica,
I me serce drży samotné,
Jak w pustyni błyskawica?.

Gonię lata bez rodziny;
Któż mych smutków zdróy wysuszy?..
Chyba jasny wzrok Celiny,
Wzrok anioła mojey duszy.

Biegłbym w kray, tęsknocie miły,
Gdzie las nie gra ludzkiém pieniem...
Tylko druhów mych mogiły
Ubiéra bladawym cieniem.

Tambym bujał kilka chwilek,
Od nieszczęścia burz daleki,
Żyłbym w kwiatach, jak motylek —
Znikł — jak wody brzęk — na wieki.

Gdy po niebie świt popłynie,
Usłyszałbym, jak skowrónek,
Lecąc wesół po dolinie,
Słodko miłey brzmi, jak dzwonek....

Brzmi pod niebem . . . brzmi po lesie,
I gdzie kwiatów lśnią się wianki;
Wzajemnie mu echo niesie
Pieśń z westchnieniem od kochanki.

Możebym ja w rozrzewnieniu,
Dumając gdzie pod drzew cieniem,
Uczuł piosnkę w ich mruczeniu,
Od Celiny mey z westchnieniem.

Tamby słońce oświecało
Lice me o złotym wschodzie,
I tak mile z niém igrało,
Jako na jey z róż jagodzie.

Gdybym w słońce był zmieniony,
Wtenczasbym w jey oku błysnął,
I w promyku utajony
W jey się tkliwe serce wcisnął.

Możeby tym ogniem tchnęło,
W jaki moje serce żyje,
I tak tęskno bić poczęło;
Jak mę dla niey wiecznie bije.

Bo jak w srebrney perle wody
Żywo xiężyc się maluje,
Tak cień piękny jey urody
W każdey mey się łezce snuje.

Lecz próżno móy duch ulata
W złote myśli moich kraje!
Zgasło szczęście — gasną lata —
Pamięć tęskna pozostaje.

Dumko, duszy mey natchnienie!
Nie długie nam błyszczą chwile...
Rozniesie cię zapomnienie,
Jak wiatr proch móy na mogile.

Michał Godlewski.

Burza.

Słychać szelest wiatru, niebo się zachmurza,
Po przyjemney ciszy następuje burza.....
Już grzmi!... już pioruny biją w oddaleniu!....
Jaka wielka zmiana w jedném oka mgnieniu.
Błyskawica błyska.... co raz większe chmury....
Upadają drzewa.... drżą nawet i mury;
Okaże się wkrótce w gęstych kroplach woda,
Po czém zajaśnieje rozkoszna pogoda.
Podobnych tym odmian, równego wzruszenia,
Jakiemu ulega ogrom przyrodzenia,
Doznaje i człowiek w swojey duszy tkliwey....
Czasami spokoynéy.... czasami burzliwéy....
Cmią nas często czarne smutków chmury....

Wstrząsa nasze serca zmartwień wiatr ponury,
Spadają łzy gęste, grzmi nieszczęść tysiące,
Potém wschodzi znowu pomyślności słońce.

Kamilla Narbutówna.

Sonet do nadziei z Rossyyskiego. przez *T. T. Jarzyńskiego.*

Nadziejo! serc czułych, rozumow magnesie!
Zorzo dni szczęśliwych, w nieszczęściu ochłodo!
Trudow przyjaciółko! cierpienia nagrodo!
Każdy ci się kłania, każdy dary niesie.
Tobą uwiedziony, wini cię, przeklina;
Lecz znów w jego smutku przeszkódą się stajesz;
I ray w mieyscu piekła sama jemu dajesz.
Tak, że iść za tobą, drogę nam przecina?
Niestraszną jest wówczas sroga śmierci postać,
Gdy się spodziewamy, z rąk twych wieniec dostać:
Ty jesteś Mars w polu, w mieście silne bóstwo.
Bóstwo, które trzyma świata oba końce!
Bez ciebie, czyż się może, obeyść ludu mnóstwo?
Ty jesteś tém dla nas, czém dla planet słońce.